

Cenzura w PRL

Andrzej Bober, Anna Richter



„Dziennik Telewizyjny”, pierwszy z prawej Andrzej Bober. Fot. Forum.

"Bardzo pana broniłem wtedy...".

Obejrzałem się. Tak powiedział do mnie starszy mężczyzna w okularach. Kończyła się właśnie promocja książki Piotra Lipińskiego Cyrankiewicz w październiku 2016, ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

Przed czym tak mnie pan bronił? - podjąłem wątek.

Przed nieszczęściem - odpowiedział. - W minionych latach byłem cenzorem w telewizji. Zaczynało być ciekawie. „W minionych czasach” pracowałem w TVP, najpierw robiłem program o wynalazcach „Mam pomysł” (1974-79), potem miałem krótki wątek z „Dziennikiem Telewizyjnym” (1979-80), a wreszcie zacząłem swoją wielką przygodę z „Listami o gospodarce”. Przeważała ciekawość, więc wyciągnąłem rękę, poznaliśmy się. Okazało się, że nie miał specjalnych zahamowań, by opowiedzieć o swojej pracy. Zaczęliśmy się spotykać, on mówił, ja nagrywałem. Tak powstała opowieść Maksymiliana Huberta Sankowskiego, z tamtej strony barykady.

Jest jednak także jej druga strona dziennikarza. W swojej autorskiej działalności nie miałem, prawdę mówiąc, jakiegoś szczególnego kontaktu z cenzurą, choć obserwowałem, jak ten rak toczy nasze książki, gazety, teksty żałobne czy etykiety artykułów spożywczych. Jak łamie ludzkie kariery, jak niszczy naszą kulturę, jak fałszuje historię. Obejmował wszystko, nawet książki dla dzieci (Ewa Szelburg-Zarembina, Noc Bożego Narodzenia, Dom wielki jak świat; Janina Porazińska, Legendy te poszły na przemiał).

Cenzura działała od początku Peerelu. Jej oficjalna nazwa, Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji

i Widowisk, wskazuje, że obejmowała wszystko, co drukowane, pokazywane, wydawane, słuchane. Czyli wszystko. „Miała pomóc w kreowaniu pewnego pozytywnego obrazu państwa w sensie politycznym, cywilizacyjnym, ekonomicznym, upowszechnić go i nie dopuścić do podważania” ocenił profesor Andrzej Friszke. Urząd najpierw podlegał Ministerstwu Bezpieczeństwa, potem skrył się pod skrzydła Urzędu Rady Ministrów, czyli praktycznie premiera. Był to urząd trochę tajemniczy, o jego istnieniu i tym, gdzie się mieści, wiedzieli głównie Indzie piszący. A przeciętny obywatel nie do końca zdawał sobie sprawę, że to, co czyta, przeszło przez cenzurę.

W praktyce wyglądało to tak. Po studiach ekonomicznych na Uniwersytecie Warszawskim znalazłem się - po konkursie organizowanym przez ówczesną Robotniczą Spółdzielnię Wydawniczą „Prasa” w redakcji tygodnika „Życie Gospodarcze”. na ulicy Hożej 35. Stamtąd maszynopisy trafiały do drukarni, na Marszałkowską 3/5, gdzie następował druk poszczególnych kolumn tygodnika. Redaktor techniczny, Marian Sikora, zapalał fajkę, a redakcyjny szofer Andrzej Chałupczak jechał z tymi kolumnami na ulicę Mysią, właśnie do cenzury i czekaliśmy. Jeśli wszystko szło sprawnie, czyli cenzorzy nie znaleźli niczego, co nie nadawałoby się do publikacji, na każdej kolumnie przybijano czerwoną pieczęć. Andrzej Chałupczak brał to wszystko pod pachę i wracał na Marszałkowską. Około północy można było rozpoczynać drukowanie całego tygodnika.

Jeśli natomiast cenzorzy znaleźli coś z ich punktu widzenia niewłaściwego, rozpoczynał się młyn: telefony do naczelnego, ten do cenzury, a jeśli to nic wystarczało, to naczelnicy dzwonił „wyżej”, do Wydziału Prasy KC PZPR, a może jeszcze wyżej - do jego kierownika. Szamotanina trwała około dwóch godzin, kwestionowany artykuł „puszczano” z ingerencjami cenzury (czego oczywiście nie zaznaczano w tekście) albo zdejmowano. W tym drugim przypadku redakcja znajdowała w swoich zapasach inny artykuł o podobnej objętości, ten znowu odbywał drogę na Mysią, tam... procedura jak wyżej. Maszyny drukarskie uruchamiano nieraz o czwartej nad ranem. Takich przypadków mieliśmy stosunkowo mało, bo zastępca naczelnego, a potem naczelnicy Jan Głowczyk miał nosa i wiedział, co można drukować. A jeśli co też się zdarzało nos zawodził, to Głowczyk dzwonił do kolegów z Wydziału Prasy KC. Jak nie puścili, mieliśmy ty dzień do następnego numeru, na dalsze wyjaśnianie.

Zdarzało się, że zabierałem się z Chałupczakiem na Mysią. Czekając na decyzje cenzora, zastanawiałem się młody wtedy człowiek skąd ci cenzorzy wiedzą, co puszczać, a czego nie... Posiedli jakąś tajemną wiedzę, studiowali na kilku wydziałach naraz, skąd ta wiedza? Owszem, słyszałem o jakiejś tajemnej księdze, gdzie to wszystko było wyszczególnione, ale dopiero wiele lat później tajemnica została odkryta.

10 marca 1977 cenzor Tomasz Strzyżewski wsiadł tuż przed północą na prom łączący Świnoujście ze szwedzkim Ystad. Miał w plecaku księgę zapisów cenzury, którą wcześniej, przez osiemnaście miesięcy, przepisywał w krakowskiej drukarni. To właśnie była cała mądrość cenzorów.

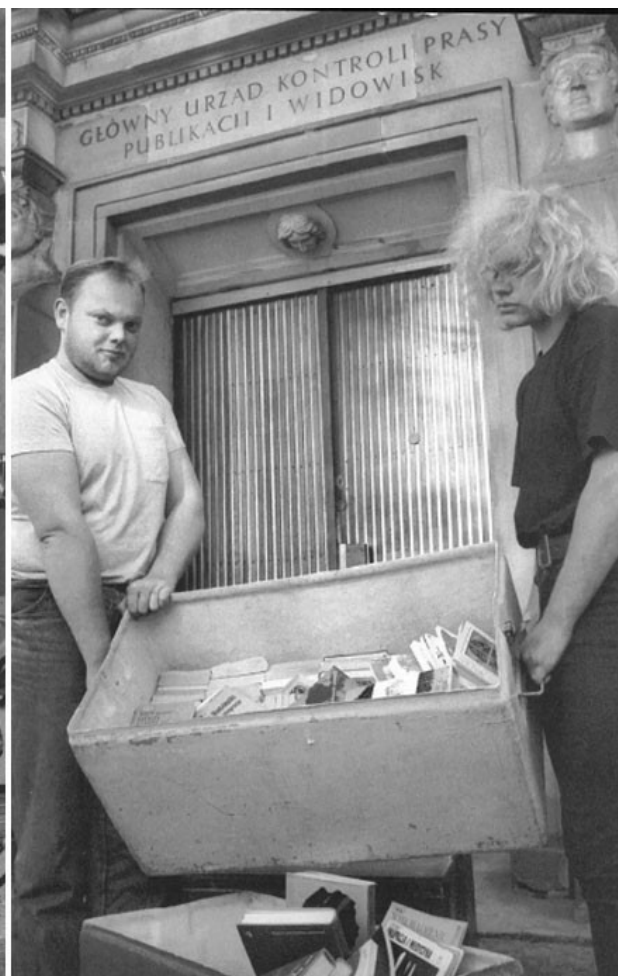
Księga zawierała spis, na bieżąco aktualizowany, zakazanych tematów obejmowała nazwiska pisarzy, którzy narazili się władzy, „białe plamy” naszej historii (Katyń). Nie należało pisać o przywódcach kościelnych, życiu wewnętrznym Kościoła, o przywódcach Polskiego Państwa Podziemnego, nie wolno było używać określeń „stalinizm”, o ZSRR tylko pozytywnie... Stefan Kisielewski pisał w Dziennikach o swoim zdumieniu, ile tematów jest zakazanych. Nie wolno było pisać o wybuchu gazu, o orzeczeniach Sądu Najwyższego, o szerokotorowej kolei z Katowic do Rosji, o licencjach zagranicznych, o handlu z Afryką Południową, o życzeniach Gierka dla Piaseckiego, o zburzeniu starych młynów we Wrocławiu, o produkcji cukru, o aktorce Annie Prucnal, o szpitalach budowanych przez zagraniczne Firmy, o unitach, o umowach kooperacyjnych z NRF, o filmach Wajdy, o zatruciach żywnością, o chorobach zwierząt, o możliwościach emigrowania, o produkcji papieru, o Panoramic Raclawickiej. o książce Bartoszewskiego. O wszystkim, a nawet więcej.

Dochodziło do absurdów. Krzysztof Kozłowski, odpowiedzialny w tamtych czasach w „Tygodniku Powszechnym” za kontakty z cenzurą, tak opowiadał: „Kiedyś nam zdjęto felieton Kisiele, który

załamany przez kolejne zatrzymywane teksty; postanowił napisać rzecz politycznie obojętną, byle go wydrukowano. Opisał swój spacer po lesie. Cenzor nie pozwolił na publikację, interpretując artykuł jako wyraźne wezwanie do walki partyzanckiej”.



Drukowanie „Dziennika Ludowego”, 1975.
Fot. Grażyna Rutowska / NAC.



Machina cenzury. Warszawa, październik 1990. Przenoszenie księgozbioru Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk po likwidacji urzędu. Fot. Witold Jabłonowski.

W codziennej cenzorskiej praktyce okazywało się, że stałości naszego ustroju mogą zagrozić informacje o korozji semaforów na trakcjach kolejowych, o utrzymującym się na rynku braku korków elektrycznych i żarówek, a także o „cudzie” w' Piotrkowie, gdzie zauważono cudowny odbłask na wieży miejscowego kościoła...

Kiedyś, dziwnym trafem, wszedłem na obszar zupełnie mi nieznaną: napisałem coś. co cenzor powinien jednym ruchem w rzucić do kosza, a tego, choć chciał, nic zrobił. A ja stałem się jednodniowym bohaterem...

Zadzwoił do mnie dyrektor gabinetu Prokuratora Generalnego, Witold Rozwens, i zaprosił do siebie. Nie znałem go. ale z prokuraturą wołałem nie zadzierać. Rozwens dał mi kilkanaście stron maszynopisu i wolną rękę: „Możecie z tym zrobić, co chcecie”. Przejrzałem te kartki, a tam opis krajowego rynku mlecznego: brud, syf i okoliczności. „Ja nie jestem w Ameryce, nikt mi tu tego nie wydrukuję” - zacząłem snuć wątpliwości. „O to już wy nie musicie się martwić” zakończył mój gospodarz. Napisałem dla „Życia Warszawy” tekst Brudne mleko, a Leopold Unger, sekretarz redakcji, spojrział na mnie jak na pomyłonego, oddał naczelnemu (Henrykowi Korotyńskiemu), a ten mnie pyta, czy to na poważnie. Ale wysłał tekst na Mysią, do cenzorów. Po godzinie była odpowiedź: „Nie do druku”, a po kolejnych 15 minutach „Bez uwag, drukujcie”. Ignacy Gawryluk, najstarszy dziennikarz w „Życiu Warszawy”,

wyjaśnił mi: „Wszedłeś pomiędzy dwie zwalczające się w partii frakcje. Zwyciężyła silniejsza, ale obie to gówno”.

Z pracy w „Życiu Warszawy” (1965-79) utkwiły mi w pamięci dwie sytuacje związane z cenzurą i wejściem pracowników bezpieczeństwa na teren redakcji. Pierwszy przypadek był taki: w prognozie pogody na dzień następny znalazło się zdanie „wiatry z kierowników' wschodnich”. I od rana redakcja polna ubeków: kto to wymyślił, kto za to odpowiada, wywalić z pracy... Szczęśliwie dyżur tamtego dnia miała Ryszarda Kazimierska (sekretarz Podstawkowej Organizacji Partyjnej PZPR), która musiała być, z automatu, poza wszelkim podejrzeniem. Rysia więc ocalała, ale wywalono z pracy cenzora, który to puścił.

Innego dnia przyjeżdżam rano do pracy, a tu znowu nalot esbeków. Węszą w papierach naszego Biura Ogłoszeń. Okazało się, że w rubryce ogłoszeń ukazał się anons: „Małe fiaty' przerabiam na gokarty. Telefon: 628...”. A to był numer do ministra przemysłu maszynowego Tadeusza Wrzaszczyka, podobno ojca chrzestnego „maluchów ”. W redakcji nic znaleziono winnych, cenzorów pouczono, że trzeba sprawdzać, i od tamtego dnia wprowadzono przepis: każdy dający jakiegokolwiek ogłoszenie musi wylegitymować się dowodem osobistym, którego numer będzie zapisany...

Przykład z dziedziny „Kowal zawinił. Cygana powiesili”. W tamtym czasie pracował w dzienniku „Sztandar Młodych” mój kolega Maciek Bielecki. Miał dyżur w dniu, w którym Chruszczów i Malenkov, po wazycie w Polsce, wracali do Moskwy. W „Sztandarze” na pierwszej stronie duże zdjęcie, nad nim tytuł: „Delegacja radziecka opuściła Warszawę”. Maciek widać uznał, że to za słabe, dodał jeszcze nadtytuł: „W imię pokoju i socjalizmu”. No i wyszedł ładny paszтет. Maciek jakoś się obronił, ale cenzor musiał szukać nowego zajęcia.

Skoro było więcej takich przypadków; gdy nic wystarczało czujne oko cenzora, naczelny „Życia Warszawy” Henryk Korotyński ogłosił: „Od jutra pracujemy bez cenzury. Uznano, że jesteśmy dojrzałym zespołem, potrafiącym odróżnić dobro Polski od zachodniej propagandy - i to jest właśnie dla nas nagroda”.

Dotykani w tym miejscu opowieści Sankowskiego o cenzurze „wewnętrznej” w DTV. Taki komunikat liczącej cenzury dostali wtedy chyba wszyscy uczestnicy rynku medialnego. Z podobną argumentacją w nagrodę. I teraz do urzędu cenzury zaczęły trafiać materiały i publikacje po ocenieniu przez dziennikarzy. Autocenzura zaczęła działać wspaniale. Z jej pomocą przerzucano odpowiedzialność cenzora na autora, sekretarza redakcji, redaktora naczelnego. W przypadku „Życia Warszawy” był to prawdziwy dopust Boży. Pracowali tu Leopold Unger, Stefan Bratkowski, Kazimierz Dziewanowski, Leszek Kołodziejczyk, Jerzy Zieleński, Hanna Krall, August Grodzicki, Grzegorz Jaszuński, Zdzisław Sierpiński, Wiesław Górnicki, Artur Hajnicz, Jerzy Rawicz, Tadeusz Jackowski, Jerzy Szperkiewicz i wielu innych, stanowiących sam szczyt ówczesnego dziennikarstwa. Bez kompleksów; z wiedzą i wiarą, że coś można lepiej, szybciej, sprawniej. W takim zespole dyskusja, co można, a czego nie można, mijała się z celem. Oczywiście, wszystko można! Prowadziło to do wiecznych sporów; oskarżeń, potyczek. Przenosiły się one na grunt towarzyski, co nieraz stawało się nieprzyjemne.

W „Dzienniku Telewizyjnym” nikt takich rozterek nigdy nie miał co zauważa Sankowski. Byli latami wyuczeni, wyszkoleni, zdyscyplinowani. Wiem, co piszę. Trafiłem tam przypadkiem, obserwowałem kilka miesięcy, zanim wciąłem się za swoje „Listy o gospodarce”. Tu też zdarzyła mi się historia z cenzurą w tle.

Rok 1980, porozumienie gdańskie podpisane, w telewizji „nikt niczego nie wie”. Towarzysze z Wydziału Prasy KC PZPR nagle postanowili nic nie mówić. Kierownictwo telewizji bezradne, bo co tu dawać na antenę, skoro dysponent postanowił milczeć. Dyrektor generalny TVP Władysław Snarski spotyka mnie na korytarzu: „Może pan coś wymyśli?”. Z Andrzejem Zaporowskim i Jerzym Redlichem wymyślamy coś, co samo się narzucało: telewizja nie odpowiadała na listy; to teraz będziemy na te listy odpowiadać. Dlaczego „o gospodarce”? Bo z wykształcenia jestem ekonomistą. Dzwonię do Snarskiego

i mówię, że mam coś. Co? Krótko wyjaśniam i dodaję: „Są tylko dwa warunki: program na żywo i bez cenzury”.

Nic było dyskusji i 17 października 1980 ukazały się wieczorem na antenie „Listy o gospodarce”, pierwszy w historii TVP program publicystyczny bez cenzury. Był „Złoty Ekran”, kilkanaście nagród, spotkania z załogami fabrycznymi, idylla. Trwało to do 13 grudnia 1981, potem już miałem wolne, bo uznano, że Andrzej Bober „świadomie demontował socjalistyczną gospodarkę i Komisja nie widzi możliwości dalszej pracy z red. Boberem w telewizji” (Polskie Radio i Telewizja wsianie wojennym, I PN, Warszawa 2011).

Stan wojenny minął, były wybory 1989, ale urząd na ulicy Mysiej trwał. Posądzano premiera Mazowieckiego, że wcale mu nie zależy na jego likwidacji, bo cenzura może chronić rząd w okresie transformacji ustrojowej. Ale w zasadzie cenzura przestawała już działać w roku 1989, a 11 kwietnia 1990 weszła w życie ustawa o likwidacji Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk (jak się wtedy nazywał). A więc koniec? Niezupełnie... Był to koniec cenzury instytucjonalnej, owszem. Ale na jej miejscu, prawie niezauważalnie, zaczęła tworzyć się nowa hydra tej samej matki.

Nadal mamy do czynienia z naciskami na dziennikarzy, media, wydawców; by pisali tak, jak tego oczekują prominentni politycy, ludzie władzy, przedstawiciele różnych grup interesów czy też... koterie towarzyskie. Stacje telewizyjne nie zmieniają nazw, zmieniają tylko stosunek do rzeczywistości. A kto ją reprezentuje? Władza oczywiście. Polityczna, branżowa, środowiskowa. Dwa razy dotknęła mnie ta hydra.

Pierwszy raz gdy z własnej potrzeby napisałem artykuł o Janie Dworaku, byłym przewodniczącym Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Wcześniejsze swoje stanowisko, wiceprezesa Radiokomitetu, zawdzięczał znajomości z Tadeuszem Mazowieckim, późniejszym premierem. I premier załatwił mu tę fuchę, o czym dowiedziałem się z pierwszej ręki. W artykule napisałem więc, że od tamtego przypadku wywodzi się w wolnej Polsce tak zwane upolitycznianie mediów'. Bez kwalifikacji, ale ze znajomościami. Druku odmówiły ' „Wprost”, „Newsweek”, „Polityka” naczelni w tej krytykowanej przeze mnie telewizji występowali. Opublikowałem więc później artykuł na jednym ze swoich blogów miał ponad 60 tysięcy odsłon (inne moje teksty na tym blogu osiągały 5-7 tysięcy odsłon). Był więc chyba ciekawy.

Drugi przypadek związany był z książką Ja, w której wraz z Cezarym Łazarewiczem przepytaliśmy' na różne okoliczności Lecha Wałęsę. Jej promocją zainteresowana była „Gazeta Wyborcza”, która opracowała bogaty program spotkań autorskich, publikacji wyjątków z książki na własnych łamach itd. Następnie ukazał się komunikat, że Agora wycofała się ze współorganizowania spotkania autorskiego Cezarego Łazarewicza i Andrzeja Bobera, którzy mieli promować swoją nową książkę o Lechu Wałęsie. Nie będzie też promowania publikacji na łamach „Gazety Wyborczej”. Kierownictwu redakcji nie spodobał się fragment wypowiedzi prezydenta o jednym z polityków.

Otóż jednemu z oficerów politycznych „GW” nie przypadło do gustu jedno zdanie Lecha Wałęsy, w którym przypominał, że w 1995 roku podejrzewano Aleksandrii Kwaśniewskiego o współpracę z Rosjanami... Namawiano też byłego prezydenta, by wycofał to zdanie. Dom wariatów.

Oczywiście promocja odbyła się w innym miejscu i o innym czasie, ale przypomniały się dawne lata, gdy Stefan Kisielewski wzywał do walki partyzanckiej.

Andrzej Bober (ur. 1936) - dziennikarz i publicysta, z wykształcenia ekonomista. W latach 1959-64 pracował w „Życiu Gospodarczym”, następnie do 1978 roku w „Życiu Warszawy”. W latach 1979-81 pracownik Telewizji Polskiej, od 1980 roku prowadził program na żywo „Listy o gospodarce”. W stanie wojennym dostawca sztucznej biżuterii. Członek Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Po 1989 roku m.in. dyrektor generalny Telewizji Polskiej, ponownie autor „Listów o gospodarce”, redaktor naczelny „Życia Warszawy”, właściciel firmy pomagającej gminom w uzyskiwaniu funduszy unijnych, nauczyciel akademicki.